



Władysława Kamińska

część II z V

Sygnatura notacji: N0877

Data urodzenia: 14.11.1930 r.

Data nagrania: 28-29.11.2016 r.

Miejsce nagrania: dom świadka, Bydgoszcz, Polska

Prowadząca/y rozmowę: Rafał Pękała

Czas nagrania: Część I: 47 min, część II: 70 min, część III: 84 min, część IV: 65 min,

Format nagrania: video

Język nagrania: polski



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Władysława Kamińska: Ale mówię, zaczęło się tym, że oni weszli w 1941 roku, w czerwcu. To było tak spokojnie. Jeszcze 1942 rok, mówię, był spokój, a potem dali władzę Ukraińcom. Bo to wie pan, to była polityka. Wymordowali, straszne to było dla nas, bo tak las był nasz bardzo... bo nasz był na naszej posiadłości, a za naszym lasem był państwowy las. Czyli graniczył, nasz dochodził do państwowego. I tam tych Żydów, pierwsze było wymordowania Żydów. Zebrali wszystkich Żydów i to wie pan, było od nas nie więcej, jak dwa kilometry może. Do dziś w uszach te dźwięki słyszę. Jęki i te strzały, jak mordowali tych Żydów. To było okropne, bo kazali im wykopać dół i stawać nad tym dołem. Czy zabity, czy nie zabity, to wpadał do tego dołu. Ranny, niedobity, wapnem przysypywali. Następni stawali i tak w straszny sposób mordowali tych Żydów też. Ale strzałami w głowę. Nic więcej, tylko dużo zasypali ziemię, żywych jeszcze, znaczy, wie pan, niedobitych dużo zasypywali. Bo jeszcze tam blisko mieszkał taki Ukrainiec i to było od niego niedaleko. To mówi, że jak poszedł na drugi dzień, nie wiem, czy to już była prawda, ale tak opowiadał dla rodziców, że ta ziemia jeszcze jakby ruszała się. Jakby tam jeszcze w dole byli żywi ludzie. Bo niektórzy tylko raniony był, nie zabity na śmierć. To wybili tych Żydów zaraz. Dużo u nas Cyganów było. O, ile u nas Cyganów było. W naszym lesie nieraz... ale zawsze pytali się, bo to nasz był prywatny las, to czy mogą w tym lesie taborem swoim tam stanąć. A tatuś mówi: „Jeżeli nie będziecie niszczyli lasu, bo to jest mój własny, to nie jest państwowy las, to możecie stanąć. Ale jak będziecie niszczyli drzewa czy co...”, „Nie, nie będziemy. Tylko żeby wozy stanęły w lesie”. To nawet Cyganie stali u nas w lesie taborem tym. No to... Potem druga tura była Cyganów. Wszystkich wybili, wszystkich wymordowali Cyganów też, rozstrzelali. No i zostali Polacy. Jak zostali Polacy, to wie pan, Niemcy białe rękawiczki. To nie oni. Dali broń Ukraińcom, bo przecież tak potem rozmawiali starsi wszyscy. Skąd Ukraińcy by mieli najnowocześniejszą broń niemiecką? Musieli Niemcy im dać. No i dali wolność. Wymordujcie Polaków i będziecie mieli niezależną tą...

jak to było po ukraińsku, samostijna Ukraina, czyli niepodległa, niezależna. Więc oni zaczęli nas mordować. W pień wyrzynać całe rodziny. Proszę pana, Derażne miasteczko było nieduże. Tych Żydów nie wiem, ile mogło być. Wie pa, w tej chwili naprawdę trudno by mi było określić, czy było ich tam z 200 czy z 500 osób. Od razu jednego dnia ich zajęli. Nie, nie, ma pan rację. Najpierw spędzili do bożnicy. O, bożnica była, czyli ich kościół. To taka większa sala. Ich tam spędzili wszystkich. Wszystkich, bo tam niejeden był gdzieś tam w drodze. Ale getta nie było żadnego, tylko do tej bożnicy spędzili, a potem z bożnicy przed sobą, psy po bokach, te takie ich wilczury, a oni z karabinami za nimi. I mówię, do tego lasku takiego właśnie koło naszej posiadłości. To nawet chyba jeszcze do Jamińca należało. I tam ich, mówię, te strzały i te jęki to naprawdę było tak słychać, a to było nad wieczór, taka gdzieś godzina koło 18:00, taka już prawie taka do wieczorna cisza następowała, taka we wrześniu. I we wrześniu od razu ich, mówię, zamordowali. Tak jak weszli do nas, to 2-3 tygodnie to już byli Żydzi wymordowani. Potem Cyganów. Ja mówię, potem Cyganów.

Rafał Pękała: W taki sam sposób Cyganów? W tym samym miejscu?

Władysława Kamińska: Cyganów też. Też w lesie gdzieś, nie pamiętam gdzie. Cyganów nie było tak dużo, bo Cyganów było kilka wozów, to tam może było z 20 osób czy tam 30 było w tym taborze. Cyganów nie było tak dużo.

Rafał Pękała: Mówiła pani o tym, że stosunki z Ukraińcami między wojną układały się dobrze. To proszę powiedzieć, kiedy zaczęło się psuć?

Władysława Kamińska: Proszę?

Rafał Pękała: Kiedy stosunki te takie sąsiedzkie z Ukraińcami zaczęły się psuć? W którym to momencie nastąpiło?

Władysława Kamińska: Wie pan co, po prostu do końca było tak, jak myśmy mieszkali, do końca było w porządku ze wszystkimi sąsiadami. Naprawdę z wszystkimi sąsiadami. Jeden drugiemu „dzień dobry” mówił. Nie było tego, że czekało się, że Ukrainiec ma nam powiedzieć. Jak tatuś pierwszy tam wyszedł, to tatuś powiedział „dzień dobry”. Mnie rodzice uczyli: „Pamiętaj, będziesz szła do szkoły, kogo spotkasz na drodze, sąsiadom wszystkim «dzień dobry» mówić i «szczęść Boże», jak pracują”, bo to zawsze było to tak powiedzenie „szczęść Boże”, jak pracowali w polu. I mówię, naprawdę te stosunki nie popsuły się, tylko... 1942 był spokojny rok, a w 1943 w lutym. W lutym zaczęły być takie, wie pan, pojedyncze słuchy. Tam w nocy wymordowali. W nocy. Tam w nocy rodzina wymordowana. Gdzieś tam znów polska rodzina cała wymordowana. Aha, nie dokończyłam jeszcze za... bo to trzeba dokończyć tu. Więc jak Ukraińcy już zaczęli Polaków mordować, to im za mało było. Jak była tylko mała jakaś taka placówka niemiecka, to oni Niemców też zamordowali, też zabijali. Więc wtedy Niemcy już musieli sami bronić się też przed Ukraińcami, a najpierw im dali wolną rękę. I w lutym zaczęło się to już mordowanie. Nocą. To cały luty myśmy nocowali w lesie. Bo w dzień niby było dobrze. W dzień nikt nikogo nie nachodził, nie było mordów. Tacy po prostu naiwni byliśmy, że to w dzień nic się nie stanie. I w lesie naszym tatuś z braćmi, bo dwóch braci miałam, z gałęzi takie, wie pan, przymierzając, gniazda bocianie, porobili takie do siedzenia i my koce z domu, mamusia ja i siostra, w trójkę na tym gnieździe usiedliśmy, się poowijał tymi kocami, poubierani ciepłutko i tak te noce w tym lesie przesiadywaliśmy.

Rafał Pękała: A wiedzieliście, że coś się dzieje? Że może was coś złego spotkać?

Władysława Kamińska: Tak, bo już zaczęły się mordy. Jeszcze koło nas blisko nie było, ale już tam słyszemy, na tej wsi polskiej zamordowano kogoś. Na tej... No, to już baliśmy się nocą być w domu. I tatuś, i bracia nie siadali, nic, tylko chodzili i taką wartę, że tak powiem, trzymali. Tam po tym lesie ruszali się i wypatrywali, czy coś się nie dzieje. Dom zamykało się i w tym lesie. Jak tylko już słońeczko wychodziło, to myśmy wracali do domu. Napatrzył to Ukrainiec, ale dobry sąsiad nasz. Przyszedł i mówi tak: „Proszę, ja wiem, że wy w lesie siedzicie. Przecież to jest zima”. A na Wschodzie, na Kresach były bardzo zimy ostre. To takie były, że mrozy do 30 stopni dochodziło. Mówi: „Ja mam duży też dom”. On miał syna już na nauczyciela wykształconego i mówi: „Już mężczyźni niech tam wartę tę trzymają, ale niech...”. Oni tak zawsze, Ukraińcy, zwracali się do nas tak ładnie: „Pan”, „Niech pani i panienki”, czyli siostra i ja, „Niech do nas przyjdą na noc. Niech u nas nocują. Damy im jedno łóżko i tak na poprzek łóżka zawsze to pod dachem”. I my faktycznie jedną noc, druga noc, a to ta taka rzeczulka płynęła, taki strumyczek płynął, dzielił nasze posiadłości. Tylko przez ten strumyczek przeskoczyliśmy, bo nawet tak można było przeskoczyć albo kładka była położona, deska taka. I u tego Ukraińca nocowaliśmy kilka nocy. I pewnej nocy, godzina 12:00, walenie do okien, do drzwi, do tego Ukraińca. „Odkrywaj dwiery. Odkryj dwiery”, czyli otwórz drzwi. No, mówimy, znaczy, każda z nas pomyślała, siostra, mamusia, ja: „Ukraińiec nas wydał. Najpierw nas ściągnął, żebyśmy u niego nocowali. On nas wydał”. A Ukraińiec miał u siebie jeńca wojennego, Rosjanina, czyli rozumie pan, wojenny jeńiec, żołnierz rosyjski wzięty do niewoli niemieckiej i oni potem tych niewolników kogo zabili, to zabili, a niektórych dawali dla ukraińskich rolników do pomocy jako taki służący do pomocy. I był ten Wasia. Był ten rosyjski żołnierz, młody chłopaczek taki był też. I taki w tym jednym pokoiku, dwa łóżka stoją. Na jednym śpi ten Wasia, ten Rosjanin, a na tym drugim my w trójkę. Tak siedzimy tak poskulane, mamusia, ja i siostra. Jak zaczęli walić do tych drzwi, to ten wskoczył do pokoju, mówi: „Chowajcie się pod łóżka”, do mnie i do siostry. Więc siostra pod łóżko tego jeńca wojennego, a ja pod to łóżko, co myśmy spali. Ale zanim ja pod to łóżko schowałam się, a mamusię zabrali do swojej rodziny, bo ich było: córka, oni we dwoje, syn uciekł na górę, bo bał się syn ich też tych, co pukają, bo to jednak nie było zdradzenie nas. To była banda ukraińska. Ta banda taka ukraińska. Więc syn wskoczył na strych i schował się, możecie panowie wyobrazić sobie, plewy takie, co zboże się... Znaczy się, najpierw młóci, potem odsiewa je od plew, zboże od plew, i te plewy są jako karma dla bydła. On w te plewy schował się, bo bał się też tej bandy. Bo nie należał do tej bandy. A moja mamusia na serce bardzo chorowała. I ja miałam w płaszczyku w swoim, w kieszonce miałam kropelki, walerianę. I oni mamusię moją zabrali do kuchni, czyli oni we dwojkę, ich córka, kogoś była matka, nie pamiętam. Matka jego czy jej i mamusię do siebie, że to niby ich teściowe. Matka żony i matka jego. A my pod łóżka. I ja pobiegłam tam wtedy buteleczkę dać, żeby mamusi dali tych kropli, bo mamusia zemdleje, on musiał te drzwi już otworzyć i ja pod łóżko wsunęłam się, ale nie zdążyłam, wie pan, kolan mocno wsunąć. Tak że jak ten stał przy moim łóżku, to on butem dotykał do moich kolan. Butem. Ten bandzior. I wtedy ja już nie mogłam, bo jakbym się ruszyła, to by poczuł ruch jakiś. I tylko czekałam, kiedy nas odkryje, że ja pod jednym łóżkiem siedzę, siostra po drugim. A oni weszli do pokoju i nikogo nie pytają, tylko mówi: „Gdzie macie jeńca? Gdzie jest ten rosyjski jeńiec?”. A ten gospodarz mówi, Kuźma: „Tam w pokoju”. I on tak na tym łóżeczku leżał, on wstał z tego łóżeczka, usiadł, a oni do niego po rosyjsku mówią, bo przecież ja wszystko słyszałam, rosyjską gwarą taką, ty taki, owaki, tam wyzwali go tak brzydko, mówi: „Ty sobie w łóżkach, w kravaci się wylegujesz, w łóżkach, a my tu walczymy?”. Że niby podali się za partyzantkę rosyjską, a już gdziekolwiek było słychać, że już partyzantka rosyjska Niemcom wchodzi w głąb i oni niby są tą partyzantką

rosyjską i mówi: „Ty się wylegujesz w łóżku, a my walczymy. Ubieraj się”. Ta gospodyni mówi: „Dam mu chleba jeszcze na drogę”. „Nie, nie, jemu już nie będzie nic potrzebne. Nie trzeba mu żaden chleb”. Wyprowadzili go, zabrali, zabrali tych kilkunastu, bo to było tak po tych Ukraińcach trochę tych żołnierzy radzieckich”. Do Horynia, w Horyń płyną przez Derażne, rzeka bardzo bystra, taka głęboka rzeka. Zaprowadzili na most i z mostu do wody postrzelali ich. Wszystkich wystrzelali i popłynęli. I myśmy ocaleli. A byliśmy pewnie, że on nas wydał, że to po nas przyszli, a oni przyszli po tego Ukraińca.

Rafał Pękała: Rosjanina.

Władysława Kamińska: Ale już więcej nie poszliśmy. Nie poszliśmy już tam spać, bo już taki lęk był straszny, że już nie poszliśmy.

Rafał Pękała: Jak się nazywał ten Ukrainiec, ten gospodarz?

Władysława Kamińska: Kuźma. Jepik Kuźma. Imię miał Kuźma, a nazwisko Jepik. Jepik Kuźma.

Rafał Pękała: A te bandy to byli swoi, tak?

Władysława Kamińska: Proszę?

Rafał Pękała: Te bandy ukraińskie to byli swoi, bo oni wiedzieli, gdzie są...

Władysława Kamińska: Nie, nie wiemy, kto to był. On jednak ich nie rozpoznał. Też nie rozpoznał, bo jednak by poznał, gdyby to już jacyś sąsiedzi. To byli Ukraińcy tam z następnej jakiejś wioski. No i wtedy, proszę pana, już zaczęły się mordy coraz bliżej nas. Już koło nas taka rodzina była. 12 osób rodzina. Dziesięcioro dzieci i rodzice. Całą tę rodzinę wymordowali. To już tak ze dwa kilometry od nas na Anielówce. I przyszedł do nas, to był, proszę pana, poniedziałek, 21 marca. Przyszedł do nas Ukrainiec. Dobry Ukrainiec, bo nie wszyscy należeli do bandy. Stary kawaler, tak około czterdziestki, Karpo. Miał na imię Karpo. Przyszedł i tak, to ja też słyszałam tę mowę. Mówi do tatusia: „Panie Sewruk, jeżeli pan nie chce ze swojej ziemi nigdzie iść...”, a tatuś tak powiedział, że: „Ja ze swojej ziemi nigdzie nie pójdę. Jak zginę, to na swojej ziemi”. Mówi: „Jeżeli pan nie chce, ale niech pan panią i panienki, niech pan wyśle na tę polską dużą wieś Pendency. Oni już tam troszkę broni mają. Oni już tam jakoś bronią troszkę. Niech pan wyśle”. Miałam jeszcze dwóch braci. Mówi: „Synowie pana to już albo zostaną...”, znaczy ze mną, z mamusią, „Albo wrócą do ojca tu, ale niech pan...”. I tak radzi tatusiowi. Mówi: „Będzie bardzo źle”. On jednak słyszał między Ukraińcami, że już i na nas napad się szykuje. Przyszedł w poniedziałek do nas i we wtorek rano tatuś mówi do brata mego, Staszka: „Staszku, weź zaszykuj wóz, zboża, mąki, żywności, weź trochę, pościel załadujesz i pojedziecie na te Pendency. Mamusia, Ziułka i Władzia pojedziecie na te Pendency i wy możecie jechać”. Ja zostanę na swoim. Ja nigdzie nie pojedę. I brat od rana przygotował już ten wóz, i proszę pana, godzina dwunasta, przed dwunastą, przychodzi do nas z miasteczka pani, która... Przed wojną towarzyszyli. On był przed wojną geodetą. O, jej mąż był geodetą. Facet znał języki, niemiecki miał dobrze język opanowany. I jego już... Nazywali się Drohomireccy. I jego

już, proszę pana, wcześniej zamordowali, zabrali. A ona została w Derażnym. Mieli domek, ogród ładny przy domku i było troje dzieci. Chłopak był w moim wieku, Włodek. Tylko on był z lipca, a ja z listopada, czyli pół roku był ode mnie starszy, i był Romek, 1933 rocznik, i Wandzia w 1939 się urodziła, czyli była 3-letnią, niecałe trzy latka miała ta Wandzia. I ta pani Drohomirecka w tym Derażnym przymiera z głodu. Przyszła z tym swoim synem najstarszym, z tym Włodkiem do nas, prosić rodziców, żeby dali coś do żywności. Mąki, kaszy, ziemniaków. Wiadomo, byle przeżyć tylko. I proszę pana, ona przyszła do nas tak przed południem, ledwo przyszła i siostra już ugotowała obiad z mamusią i mówi: „Zjemy obiad, bo już my wyjeżdżamy na Pendyki. Po obiedzie już jedziemy na Pendyki”. 22 marca, zbliża się godzina 12:00. Wpada brat do mieszkania i krzyczy: „Uciekajmy, napad na nas!”. Napad na nas, 22 marca o godzinie 12:00. Proszę pana, cud to był jeden, że nas zaatakowali ze wschodu, to znaczy od wschodniej strony. I zostawili nam drogę ucieczki na te Pendyki, a na Pendyki trzeba było z zachodniej strony. Tak jakby o, tu jest wschodnia strona, tu nasza posiadłość, a w tę stronę musimy uciekać na te Pendyki. Na tym są te Pendyki, na tej mapie. Więc myśmy na te Pendyki uciekali. Czyli zostawili nam furtkę, bo tak to jedynie... jakby oni nas z zachodu zaatakowali, to my byśmy mieli tylko jedynie ucieczkę do lasu. Jedynie do lasu, no bo nic więcej nie było. Nie byłoby żadnej innej możliwości, bo już na wschodzie były lasy. To były cuda jednak. Och, Boże, ile ja mam tego opowiadania.

Rafał Pękała: To po to jesteśmy. A to też taki zbieg trochę okoliczności, bo wy byliście już gotowi, żeby wyjechać i w tym momencie wszystko się zaczęło.

Władysława Kamińska: Proszę pana, wóz załadowany, wszystko już, pościel na wozie jest, wszystko, ubrania. Tylko obiad i po obiedzie wyjeżdżamy. Tylko ta pani jeszcze dostanie, co tam udźwigną, co uniosą z tym synem jedzenia i wyjeżdżamy. Więc mówię, brat tak, brat wyszedł, jak to gospodarstwo. Wyszedł, nie wiadomo, czy koniom wody dać, czy krowy napoić, wyszedł na podwórko przed obiadem. I mówi, patrzy, a tak jak panu mówię, droga była, przez naszą posiadłość droga, którą wojsko polskie uciekało. Że tą drogą jedzie drabiniasty wóz. Taki drabiniasty wóz i jedna osoba siedzi. Ale przy tej drodze na naszej posiadłości był jeszcze z czasów wojen poprzednich, okop. Taki głęboki okop wykopany. On patrzy, że ten wóz konny wjeżdża w ten okop i tak zdziwił się. Nie jedzie drogą, tylko czegoś w ten rów wjeżdża. I stoi, i patrzy, co to będzie. Tak on patrzy, a teraz z tego wozu wyskakują, pod sianem bandyci byli uchowani. Czyli siedział jeden woźnica, a czterech czy pięciu bandytów leżało przykrytych sianem czy słomą, czymś byli przykryci. I jak wjechali w ten rów, w ten okop, to dopiero wyskoczyli. Proszę pana, to było, tak jak już dzisiaj mniej więcej mam tę miarę. Wie pan, że to nie było nawet pół kilometra od nas ten okop. To mogło być tak, wie pan, 400 metrów, 300 metrów. Bo to było już na naszej posiadłości przecież. I tak zaczynał się taki brzeziniak, las zaczynał się. I jak on już zobaczył, że wyskakują, to wiedział, że to napad i wskoczył, i krzyknął: „Napad, uciekajmy!”. I zaczęliśmy wszyscy biec w kierunku Pendyk. Ja chwyciłam przed wojną... W czasie wojny nie było już, wie pan, obuwia, to tatuś takie drewniaczki robił, jak pan wie, i dzisiaj lekarze mają. Drewniany spód i tam czymś nabił tu, i takie po domku do chodzenia. Wyskakuje w tych drewniaczkach na ten śnieg, bo już nie ma czasu żadnych jakichś tam butków szukać, chociaż nie wiem, czy to były w czasie wojny już te buty. Od razu te butki zgubiłam w tym śniegu, bo to przecież te takie, wie pan, wsuwaneczki. I biegłam tylko w pończoszkach. Takie przed wojną były tak zwane patentki, takie na te podwiązki tutaj za kolanem. Tylko po tym śniegu, śnieg do kolan, bo u nas były zimy, że śnieg do kolan, i ja brnęłam tylko w tych pończoszkach. Muszę panu powiedzieć, że ani byłam zaziębiona, ani kataru nie miałam, ani kaszlu, nic. I tak dobre trzy kilometry bosa przebiegłam po tym śniegu na te Pen-

dyki. Uciekamy. Mamusia, ja, siostra, brat tatuś i ta pani Drohomirecka z tym swoim synem. Tatuś mój miał astmę. Nie mógł oddychać, znaczy, zaczął kaszleć bardzo. Bo bardzo mocno kaszłał. A jeszcze fajki ćmił, bo bez fajki to nie było życia. Tylko fajeczkę zawsze ćmił. Tatuś dobiegł do posiadłości tego mego chrzestnego, bo akurat graniczyliśmy z jego posiadłością i przez jego posiadłość uciekaliśmy, tego Wołoszyna. I tak przy płocie oparł się, bo widziała córeczka tego Wołoszyna, w tym drzewie schowała się i widziała to wszystko, i zaczął bardzo mocno kaszleć. Ta astma zaczęła go dusić i dobiegł do niego ten bandyta. Był to ten, tak jak już panu wcześniej mówiłam, ten sąsiad, Saszka Żuk. I tatuś do niego mówi: „Saszka, dlaczego ty chcesz mnie zabić? Co ja zrobiłem złego?”. Mówi: „Nie, był pan dobrym sąsiadem, ale zabić muszę pana, dlatego że pan jest Polakiem. Ale że był pan dobrym sąsiadem, to oszczędzę męczarni. Oszczędzę męczarni”. I tak jak panu mówiłam, strzelił do tatusia w głowę i tatuś miał... Kula była ta rozrywająca, bo to potem mi tam wytłumaczyli starsi, że kule, które rozszarpują. Tylko pół głowy było widać i jedno oko. I jak przyszedłam potem na drugi dzień, to tatuś na wznak leżał tak przy tym płocie, ręce rozrzucone. Taki kożuszek miał ubrany na sobie. A my uciekamy, biegniemy wszyscy w kierunku tam, tych Pendyk. Dobiega do mnie ta pani Drohomirecka i w rękę mi wciska, wie pan, woreczek, coś takiego mi tam wciska w rękę i mówi do mnie: „Masz, Władeczko, może ci się to przyda”. Widocznie może to złoto było jakieś w tym woreczku. I tak mi wcisnęła w tę rękę. Ja biegnąc, po jakimś czasie ja patrzę, że ja nie mam tego woreczka. Proszę pana, zawracam, biegnę szukać, gdzie zgubiłam ten woreczek. Pan sobie wyobraża? Wszyscy dalej biegną, a ja biegnę pod kule tych bandytów. A oni mieli automaty i tylko przysiada na kolana, i tylko tu, tu, tu, tu, tu... Sieje tak. Jedna kula mi czapkę... Taką miałam, misia takiego. Czapeczkę z głowy kula zdjęła. Tak że mnie ogłuszyło, ale nie drasnęło, bo tylko czapkę mi zdjęło. Druga obok mnie świsnęła tu. Podbiegłam parę kroków i leży na śniegu. Leży, widocznie to jakaś taka portmonetka była. Chwyciłam to do ręki, dobiegłam do tej pani i mówię: „Niech pani weźmie, bo ja już to zgubiłam raz. Ja boje się to mieć”. I z powrotem jej wcisnęłam, tej pani Drohomireckiej. Dobiegam, proszę pana, rzeczutka była. I przy rzece, jak wiadomo, takie zagłębienia różne. Ja patrzę, moja siostra leży twarzą do ziemi, siostra leży. Ja myślałam, że ona jest już zabita. Ale szarpnię ją za ramiona: „Ziutka, Ziutka”. Ja patrzę, a ona głowę podnosi. Ja mówię: „Uciekajmy, bo bandyci już są tuż, tuż”. A ją kula ogłuszyła, bo też miała na głowie chusteczkę i ta kula jej tę chustkę z głowy zerwała, ale jej nie uszkodziła. Ale ogłuszyła ją i ona upadła. Po prostu myślała, że ona jest już zabita. Straciła tak, wie pan, widocznie przytomność. I potem taki piękny wiersz mi napisała. Ja muszę do siostrzenicy zadzwonić, żeby przysłała mi ten wiersz. Że ja jej życie ocaliłam. Bo ją byliby żywcem wzięli ci mordercy, bo jakby doszli do niej, a ona żywa, to by ją w straszny sposób zamęczyli. I my we dwie już tylko biegniemy. Już nie widzimy ni mamusi, ni tatusia, ni braci. Już nikogo nie widzimy. Pani Drohomireckiej też już nie widzę. Biegniemy, biegniemy same, ale już strzały ucichły, oni nas do tej rzeczki dopędzili i potem te krzaki takie przy rzeczce. Już my im z oczu zginęliśmy. Rozbiegliśmy się. Już dalej nas nie ścigali. Przybiegliśmy na te Pendyki. Jest brat tylko. I nie ma mamusi, nie ma tatusia, nie ma brata drugiego. I my we dwie. To znaczy, już rodzice zginęli, brat drugi zginął, tylko ocalałyśmy dwie siostry i jeden brat. Wieczorem przyjechał mój kuzyn. To ja mówię, stryj był Piotr. On posłyszał, na nas napad, to przedziutko zaprzęgnął konie do wozu i bokami, gdzieś lasem uciekł już, zabrał żonę i stryjenka z drugim synem, i przyjechali na te Pendyki. A stryj mój tak jak i mój ojciec, powiedział, że on ze swego nigdzie nie pójdzie, więc dopadli stryja we własnym domu i zamordowali stryja. A ten Piotr i Zygmunt przyjechali na Pendyki tak po południu i przywieźli nam wiadomość, że mama żyje. Ojciec zabity, Stefan zabity, brat, a mama jest przechowana u Ukraińców, mama żyje. Jakie było przechowanie? Biegła moja mamusia, obok niej ta pani Drohomirecka z tym chłopakiem swoim, z tym synkiem Włodzimierzem. Razem biegli. Dobiegli do... Za ten trakt, tak jak pan widzi ten trakt, to jest bita droga. I zaraz

za tym traktem, przy samym tracie mieszkało trzech braci Rosjan. Nazywali się Major. Majorow, Majorow. Takie ich było nazwisko. Jeden był Andrusza, drugi był Jurik, a trzeci... Trzeci mi umknął. Trzech braci. To byli też Rosjanie bogaci, którzy bardzo bali się, jak rewolucja wybuchła, że ich mogą zamordować i uciekli do Polski. I tu kupili sobie też tego, z tej parcelacji od tego Andra, kupili sobie ziemię i jeden przy drugim, tak trzech tych braci zamieszkało. I to oni nie byli w bandzie, bo to byli Rosjanie. I pod budynki, zabudowania tego Majora Andruszy dobiegła mamusia z tą panią Drohomirecką z synem. Do stodoły. Panowie to nie będziecie wiedzieli, jak to wyglądają te wiejskie stodoły, ale mniej więcej opowiem. Stodoła składała się, drewniana, i była tak budowana, że ściany nie były takie, jak to powiedzieć, stałe. Tylko ściana była układana z desek. Czyli wie pan, jakiś tam taki był felc z jednej strony, z drugiej, i tak deska na deskę, od najniższej, wyżej i wyżej, i wyżej, aż do sufitu układane te deski. I potem w tej stodole było słoma czy siano. Jak trzeba było to wyrzucać na zewnątrz, żeby nie nosić się z tym przez wrota gdzieś dookoła, to się wyjmowało z góry te deski, do pewnego poziomu. I jak pan wie, dwie, trzy deski z góry to najwyższą słomę. Przez tę dziurę się na zewnątrz wyrzucało. I potem coraz niżej, niżej. I w ten sposób, że już ta ściana tej stodoły była tak odślonięta, że już można było tak, wie pan, ręką już stojąc, zahaczyć się za te deski. I ten 12-letni chłopak, bo mówię, 13 lat miał w lipcu dopiero, krzyczy do mojej, to już mamusia mi opowiadała. Mówi: „Pani Sewrukowa, niech się pani chwyci tych desek”. To znaczy, wie pan, uchwycić się tych desek. A mamusia była mojej postury, z tym że wyższa, ale kształty miała też takie okrągłe moje, mamusia mówi: „Dziecko, toż ty mnie nie podniesiesz, żeby wrzucić do tej stodoły tam, do tego sąsiadu tam”. Bo to nazywało się sąsiad, tamto pomieszczenie. On krzyczy: „Niech pani chwyci się”. Mówi mamusia: „Ja tylko rękami za to chwyciła się, to on pod kolana mamusię i łup, przez tę dziurę do tej stodoły. Matkę swoją to samo. „Mamo, chwyc się”. Łup, i sam wskoczył. Ledwo wskoczył. Już nie było czasu, żeby zasłaniać więcej tych desek, tylko przy tej ścianie przykulili się i siedzą tak, mamusia i ona z tym synem. A oni przybiegli, tak stanęli pod tą stodołą i też zaczęli kląć po rosyjsku, nie po ukraińsku. Mówi: [niezrozumiałe, 00:34:18] że uciekli Polacy, uciekli. Podają się za partyzantkę rosyjską, a to byli normalnie ci mordercy. I oni postali, postali, rozeszli się. Ten Rosjanin, Andrusza, wiedział o tym, bo widział, że mamusia tam schowała się w tej stodole. Po jakimś czasie przyszedł do tej stodoły. Też mówi, płakali również ci Rosjanie nad nimi, bo już wiedzieli, że tutaj, on widział, że tatuś był zabity u tego, bo to bardzo blizutko domu było tego Wołoszyna i tego Majora. I mówi do tej pani Drohomireckiej: „Pani dopiero jak się ciemno zrobi, to dopiero pani pójdzie do domu”. A ona w domu zostawiła 9-letniego tego syna i 3-letnią córeczkę zostawiła, bo mówi, przyszła po żywność do nas. Mówi: „Do ciemnej nocy niech pani siedzi tutaj, bo oni mogą po drodze plądrować. A już wieczorem to już nie będą plądrowali”. I ona dopiero jak ciemno się zrobiło, a w marcu to już tak szybciej to ciemno. To dopiero poszła do tych dzieci swoich. A mamusia została tam w tej stodole. I mówi tak, przynieśli mamusi koce do okrycia, tam takie jakieś pookrywać się i mówi: „My panią do domu nie weźmiemy, bo a niech oni w nocy jakąś rewizję będą robili po domach, że może gdzieś Polacy schowani są. My się też boimy, bo my nie należymy do nich”. I właściciel ten, Majorow, mówi tak: „Ja stodołę zamknę na kłódkę”. Kiedyś też takie były, tak jak i dzisiaj, kłódka. I mówi: „Jeżeli ja przyjdę i będę długo tę kłódkę... Znaczą, udawał, że nie mogę otworzyć i tam będę klął, że nie mogę otworzyć, że nie mogę, to niech pani już tą dziurą wyskoczy na zewnątrz i ucieka, bo to będą bandyci. Jeżeli ja przyjdę i od razu otworzę, to niech się pani nie boi, bo to ja przyjdę”. No i faktycznie mamusia tę noc, mówi, przynieśli tam i coś do picia, i do jedzenia. Mamusia mówi wypić, tylko wypita, mówi, gdzie człowiek w takiej tragedii jeść będzie? I mamusia do rana tam przesiedziała u nich w tej stodole. Jest 23 już marca, my tam jesteśmy we trójkę na tych Pendykach i rano rodzeństwo mówi do mnie, siostra, bo to siostra to już tam cały rej, bo ona najstarsza była, miała 22 lata. Brat miał 18 lat wtedy. Nie, nawet nie miał 18 lat. W 1943...

Tak, miał 18 lat. On 1925 rok, miał 18 lat. Mówi: „Słuchaj, musisz pójść mamusię przyprowadzić, bo mamusia sama nie przyjdzie”. Mamusia bardzo na serce chorowała. Mówi: „Mamusia sama nie przyjdzie na te Pendyki. Wyprowadzili mnie tak, wie pan, na... jak to się mówi, wieś, obrzeże wsi i ja, przecież dziecko 12-letnie, w życiu nie byłam na tych Pendykach, nie wiem tej drogi i tylko mnie wskazali, takie były drzewa wysokie. Rzeczulka płynęła i bardzo wysokie drzewa. Olszyny, przeważnie olszyny były nad tą rzeczką. I mówi: „Na ukos przez te pola”, bo to przecież zawiane wszystko śniegiem, bo mówię, do kolan śnieg. Ubrali już mnie tam na tych Pendykach. Jakieś butki dostałam już od kogoś, czapczkę na głowę, taką pilotkę dostałam. Bo płaszczyk miałam swój na sobie. „Pójdź, mamusię przyprowadź, bo mamusia u tych Majorów tam jest”. Już żeby zabrać tę matkę do ten... I ja, tak jak mnie pokazali iść na ukos na te wysokie drzewa, tak szłam. Ale był moment taki, że ja z tego pola musiałam zejść na ten bity trakt. A to może było, ja wiem, 100 metrów tym bitym traktem, ale musiałam tym traktem, że tam nie miałam przejścia jakiegogoś. Jak ja tylko weszłam na ten bity trakt, to słyszę, za mną tętent koni, bo oni wierzchem końmi jeździli. To serce we mnie zamarło, że banderowcy jadą. Dojeżdża do mnie, a ja byłam tak: spodni, jakieś spodnie mi ktoś dał, tam przez z tych gospodarzy Polaków, spodnie miałam ubrane, takie dziecięce, znaczy chłopięce i tę pilotkę taką chłopięcą, że jak wyglądałam na chłopczyka. Że chłopiec jestem. A była w ogóle bardzo mizerna, taka marna, mizerna byłam. Chudziutka taka. I dojeżdżają do mnie, trzech na koniach, w ręce mają broń. „Mały, kudy ty idesz?” po ukraińsku. „Mały, dokąd ty idziesz?”. A ja po ukraińsku odpowiadam: „Do dziadka, do Majorów. Do Majorów do wujka swego idę”. A on ten pistolet ma w ręce, mówi: „Masz ty szczęście, że ty nie Laszka, bo [niezrozumiałe, 00:39:55]” Mówi: „Masz ty szczęście, że ty nie Polka, bo tu to twoja byłaby mogiła, tu twój byłby grób”. To serce we mnie tak wali, że zdaje mi się widać, jak ono bije się we mnie to serce. I zostawili mnie, i pojechali. Ja doszłam do tych gospodarzy blada cała. Oni pytają się: „Był ktoś po drodze?”, ja mówię: „Trzech na koniach mnie spotkało”. Mówię: „I pytali się, dokąd idę. Ja powiedziałam, że idę do wujka do Majorów”. Mówi: „Dobrze, dziecko, to jakby oni do nas przyjechali, to powiemy, że był taki u nas tam krewniaczek, przyszedł do nas odwiedzić nas”. Żeby już prawda była, że to był. Bo oni też się boją, że oni też mogą być zabici. Zabrałam tę mamusię, ta mamusia na nogach ledwo się trzyma. Dali jeszcze bochen chleba. Kiedyś takie były okrągłe te bochny chleba. Dali na drogę mi, żebym wzięła ten bochenek chleba z sobą i taki kawałek, taki płat słoniny solonej. I jak ja tam u nich byłam, to oni mówią do mnie: „Chcesz pójść zobaczyć, twój ojciec leży u Wołoszyna przy studni, tam przy płocie, twój ojciec leży zabity”. To ja jedna poszłam i byłam przy tych zwłokach, i właśnie widziałam tatusia zabitego, tam jak leżał. Po tym tacy, ci właśnie Ukraińcy tacy, to znaczy, nie byli w bandzie. U nas tatuś budował się, dom nowy budował, to dużo jeszcze zostało różnych materiałów i to taki był strych i na tym strychu te deski były złożone. Poszli do domu, wzięli te deski, zbili tę trumnę i tam, gdzie tatuś umarł... tam, gdzie zabity został tatuś, tam był pochowany u tego, już nie na cmentarzu, u tego sąsiada tam w tym ogrodzie tatuś był pochowany. I proszę pana, po tej już pierestrojce teraz... Może nawiążę do tego, że chciałam tam bardzo pojechać na ten grób. Po tej pierestrojce, jak już zaczęło się... tak już w Rosji też rozluźniło się i już zaczęli ludzie do Lwowa, na Rossę, na Rossę do Wilna, na Orłęta do Lwowa, na te cmentarze już można było pojechać. I ja, i moi synowie bardzo chcieli, żeby zobaczyć, gdzie moje korzenie, skąd ja pochodzę. „Niech mamusia stara się o...”. A trzeba było mieć zezwolenie, żeby pojechać tam. Ja napisałam do ambasady rosyjskiej do Warszawy prośbę, że mam tam zamordowanego właśnie w 1943 roku brata i ojca, i chciałam na ten grób. To był akurat listopad, ten miesiąc, gdzie się zmarłych odwiedza. Oni mi napisali tak, że: „Proszę się zwrócić do Moskwy, do Czerwonego Krzyża i do Półksiężycy, żeby oni potwierdzili, że faktycznie tacy i tacy zginęli, że tam są pochowani. Więc napisałam pismo tam do Moskwy i bardzo, muszę powiedzieć, że w dwóch tygodniach miałam odpowiedzi.

Nie to, że miesiącami czekałam. W dwóch tygodniach były odpowiedzi. Dostałam odpowiedź z Moskwy. Dostałam tak, że komisja była wydelegowana, wysłana w tę miejscowość, sprawdzili, w tym Derażnem tam jakieś jednak papiery były. Tak, mój ojciec tam zginął, zamordowany i brat. I tam są pochowani. Ale w tej chwili, odpisują mi, nie ma już waszego sioła, kolonia to „sioła” po rosyjsku. Nie ma już waszego sioła Jaminiac, jest wszystko zrównane z ziemią i zasadzony las. Ci Ukraińcy są powywożeni w głąb Rosji, czyli odwrotnie, Ukraińców wywieźli już teraz w głąb Rosji, a tam zasadzili las i tym samym nie ma mogił waszych roztwienników, czyli nie ma mogił już mojego ojca ani brata, mojej rodziny. No i na tym skończyło się, że już nie pojechałam na Wołyń i nie zobaczyłam już niczego, bo tam już jest zasadzony i tak jak pani widzi na tej mapie pokazane, sam las wszędzie zasadzony. Wszystko zrównali z ziemią, zasadzili las. I proszę pana, dotarłam, to już taka była wstawka, 23 marca, przyprowadziłam mamusię na te Pendyki. 25 marca to jest piątek, jest akurat zwiastowanie Najświętszej Marii Panny. Od rana świt, dzwony. A dzwony były, tam kościółek był też, dzwon dzwoni, to już jak dzwon dzwoni, to jest alarm. O świcie dzwony dzwonią, alarm. Boże, prędziutko ubieramy się, napad na Pendyki. Ubieramy się. To wie pan, jak wyszłam na tę ulicę, to znów ze wschodu szli na nas. Ze wschodu znów szli na nas, a myśmy uciekali na zachód w lasy. W lasy cumańskie. To były bory, nieprzeliczone bory i to były Radziwiłła, księcia Radziwiłła były lasy. Więc my mamy ucieczkę znów w lasy, te radziwiłłowskie. Proszę pana, jak spojrzałam, to piękne słońce wschodzi, tak jaśniutko. To dosłownie tak wyglądało, jakby mrówki ruszały się. Takie mrowie szło na nas tych Ukraińców. Mężczyźni, kobiety, z piłami, z siekierami, z cepami, z nożami, z czym, bo przecież broni tyle nie było. Na nas, więc uciekamy. Brat mój dostał jakiś tam samopał do ręki, już jest w obronie. Brat już nie ucieka z nami, tylko mamusia, ja i siostra. My już same uciekamy, a brat został w samoobronie. Mieli kilka tam tych pukaweczek i zawsze troszeczkę bronili się. I od razu wieś w ten sposób wyglądała, nie była rozrzucona, tak jak to powiedzieć, w szerokość, tylko długa ulica przez całą wieś i po obu stronach zabudowania. Tak wyglądało to. Domy przeważnie strzechą kryte, słomą. Mówi się strzecha słomiana. I już pali się, podpalone z obu stron już pożar. Płoną domy. Więc uciekamy i tak od tego domku, tak wie pan, niedaleko, nawet chyba bliżej, jak ja tu mam do lasu, bliżej było. Tak może, jak tory kolejowe. Już jest las, więc aby do lasu skryć się, w lesie się skryje. Koło nas i tak, mamusia na serce bardzo chorowała. Mamusia nie może biec. I mamusia co dwa kroki podejdzie, chlap, upadła, mówi: „Dzieci, uciekajcie”, do mnie i siostry, bo my tylko dwie koło mamusi biegniemy, „Ja już tu zostanę”. Wie pan, do dziś pamiętam to, jakbym to przeżywała, że ja wtedy pomyślałam tak: „Ojca nie mam, brata nie mam, majątku nie mam, wszystko już w bandyckich rękach, więc ja już nie chcę żyć. Jak mamę zabiją, niech mnie zabiją, bo ja już sierotą nie chcę sama zostać”. I ja tę mamusię pod rękę i ciągnę. Mamusia jeszcze miała na sobie ubraną pelisę. A pelisa to wie pan, na wierzchu materiał, pod spodem futro. To były takie tak zwane u nas pelisy. I tatuś też miał taką właśnie pelisę, na wierzchu materiał, a od środka futro było baranie. Mamusi już za ciężko w tej pelisie. To siostra wzięła, tę pelisę niesie, bo to faktycznie dość ciężkie okrycie. Ja tę matkę pod rękę, biegnie obok mnie taki gajowy. Sawicki nazywał się i mówi: „Nie gromadką. Proszę puścić mamę, bo im więcej ludzi, to lepszy cel”. Bo wiadomo, w gromadkę lepiej niż pojedynczą osobą. Ja puszczam tę matkę, matka podbiegła dwa kroki, chlap, już leży na śniegu. Ja z powrotem po tę matkę i ciągle. I my chcemy do tego lasu tak, wie pan, jak najbliższej, prosto, a on mówi: „Na ukos, bo okrążają nas, okrążają, na ukos”. Bo prosto to już by była zaraz w lesie, a na ukos to jest kawałek. Trzeba było biec, żeby na ukos. To my na ten ukos do tego lasu. Tamci pendyczenie, oni znali te swoje strony, bo to ich były przecież te już tam obszary te wszystkie. My pierwszy raz w życiu tam, nie wiemy. Wreszcie wbiliśmy się w ten las. Weszliśmy w ten las, no i coraz głębiej, coraz głębiej, żeby oddalić się od tego. Jak myśmy się zagłębili w ten las, to potem nie ma wyjścia z tego lasu, bo w którą stronę ruszymy to las. Bo to już były, wie pan, lasy...

O, żebyśmy ją znów nie, że... Bo to były lasy, już takie naprawdę bory były. Napad był rano, o szóstej rano był. Całusieńki dzień chodzimy po tym lesie i nie ma wyjścia. Nie ma nigdzie wyjścia z lasu. A my musielibyśmy wyjść z tego lasu i było tak może osiem, może dziesięć kilometrów do Cumania. Cumań to była miejscowość, tu akurat nie ma, nieuchwycona na tej mapie jest Cumań, to była stacja węzłowa. Gdzie my uciekamy? Do drugiego wroga. Od jednego do drugiego. Od Ukraińców uciekamy pod Niemców skrzydła, żeby Niemcy już nas obronili. Więc trzeba do tego Cumania. Tam w Cumanii na stacji tej węzłowej będzie kilku Niemców. Ale zgubiliśmy się w tym lesie, a ci pendyczanie znali swoje drogi, oni pobiegli wszyscy taką drogą przez ten las do tego Cumania. A my po lesie błądzimy. Więc proszę pana, błądzimy cały piątek. Nie wyszliśmy z tego lasu. Noc, jaka straszna noc w tym borze. Wyją zwierzęta dzikie, bo przecież i wilki były, tam różne zwierzęta, ale wilków było sporo. Wyją, krzaki trzszczę, gdzieś, coś biegnie. Jakieś ślepia błyszczące, jakieś zwierzę, czy lis, czy zając, nie wiadomo, jakieś zwierzę. A my znów nazbieraliśmy gałązek, takich mokrych w lesie gałęzi, ale żeby przysiąść na czymś, bo przecież już nie wytrzymujemy na tych nogach. Bez jedzenia, bez picia, tylko śniegiem usta zwilżamy sobie. I tak mamusia miała tę pelisę i tak do tej mamusi przytuleni. Ja płaszczyk miałam, siostra też coś, i ta mamusi pelisa, i tak we trójkę do tego rana na tych gałązkach przesiedzieliśmy. Jak zaczyna się świt, to my znów chodzimy, szukamy drogi. Cały dzień chodzimy, nie możemy znaleźć tej drogi. Nie ma. Las, las. To teraz albo śmierć głodowa już będzie w lesie, albo dzikie zwierzęta nas rozszarpią, bo nie ma wyjścia innego. Potem podeszliśmy... W piątek, w sobotę. To w piątek był napad rano. Podeszliśmy, proszę pana, do tego skraju lasu, gdzie Pendyki widzimy. Znaczą, tę wieś widzimy. I przez te drzewa cisza, martwość, bo wszyscy już ile zabitych, reszta uciekła, tylko psy biegają, wyją, bo niektóre na łańcuchach niespuszczone, to wyją głodne. I siostra mówi, a my bez jedzenia, bez niczego, siostra mówi: „Słuchajcie...”, do mnie i do mamusi. My tutaj z brzegu, zza takie krzaki, były krzewy jałowca, a jałowiec taki zielony zimą, tak że mówi: „Za tymi krzakami tutaj poczekać, a ja pójdę tam, gdzie byli tacy Janiacy”. Taci bogaci gospodarze byli. Ona nas przyjęła do siebie już po tym napadzie. Mówi: „Ja pójdę do Janiaków, niedaleko Janiaków domek, może jakiś kawałek chleba znajdę. Może coś znajdę, żeby coś przegryźć”. I ona idzie tam. Boże, jaka to odwaga była. Toż nie wie, czy tam Ukraińcy nie siedzą i nie czekają, że ktoś przyjdzie. Przyszła do tych Janiaków tam, mówi, nie ma nic w kuchni. Albo już zrabowane jest, puściuteńko, ni chleba, ni czego. Ale patrzy, że jest... Kiedyś w mieszkaniach były piwnice, pan już też tego nie zna. Była w mieszkaniu piwnica, przypuścimy pod kuchnią, czy tam pod pokojem i kłapa była taka, i tę kłapę zamykało się, jak nie potrzeba, tak żeby było równo, a jak trzeba, kłapę się otworzyło i tam była drabinka czy schodki do tej piwnicy. I ta dziewczyna... Co głód z człowieka robi. Spojrzała, nie ma żadnej drabinki, ale tak jej wygląda, że ta piwnica nie jest głęboka. Niegłęboka, gdzie stoją beczki. A beczki stały w piwnicy, zawsze było, jak zabity był wieprz, świniak, to słonina solona, mięso solone to stało w piwnicy, bo tam chłodno. I ona wskoczyła. Mówi, wskoczyła, bo jej się wydało, że to płytka ta piwniczka. Wskoczyła, no tak, w jednej mięso, w drugiej słonina. Wzięła ten kawałek tej słoniny solonej. Jak wyjść z tej piwnicy, to ona nie może sięgnąć. Znów, tak jak panu mówię, tej podłogi, żeby... Znaczą zaczepić się i podnieść się do góry. Jednak ta piwnica była tam do dwóch metrów tej głębokości, że ona nie może. A jeszcze strach do tego straszny, że ona w tej piwnicy teraz uwięziona. Mówi, dopiero jakby pan Bóg ją jakby oświecił, że beczkę podsuń. No i na beczkę staniesz. Podsunęła tę beczkę, stanęła na tej beczce, wtedy uchwyciła się za tę podłogę i wyciągnęła się z tej piwnicy. Przyszła do nas z tą słoniną. My siedzimy z mamusią za tymi krzaczkami. Ale no cóż, przecież tej słoniny, toż to słonina sama, tłuszcz. Nie można też zjeść, bo wiadomo, że zaraz będzie straszna rewolucja po takim tłuszczu. I to słone. To zeskrobaliśmy trochę tej soli i tylko tak dosłownie, tak, wie pan, polizało się troszeczkę, językiem polizało się tę słoninkę i do kieszeni wsadziła. I znów do tego lasu

idziemy dalej. Druga noc w lesie jest. Druga noc w lesie. Już z soboty na niedzielę. Nie możemy wyjść z tego lasu. Na Pandyki trafiliśmy z powrotem, a wyjść z lasu, żeby na tę drogę do tego Cumania, nie możemy. Ale w międzyczasie, jak ja jeszcze siedziałam z mamusią za tymi krzaczkami, to słyszę, to było drugi dzień po napadzie, słyszę jęki, słyszę, że jęczy ktoś. To ja mówię: „Mamusia tu siedzi, ja pójdę, zobaczę, kto tam jęczy”. Podeszłam parę kroków dalej, leży, a znam tę żonę tego gajowego, co tak nas ostrzegał, żebyśmy nie szli prosto, tylko na ukos. Leży jego żona. Dwie córeczki miała. I tak, pod jedną ręką jedna córeczka, pod drugą druga córeczka. Ona nie żyje, córeczka jedna też martwa, nie żyje, a jedna ranna jest w nogę czy w rękę. I jęczy, żyje jeszcze. Boże, jaki to straszny widok. I nie można dać żadnej pomocy. Nic nie można pomóc. Te dziecko żyje. Dalej trochę słyszę znów jęk. Podchodzę dalej, sąsiadka nasza leży, Kamińska. Graniczyliśmy swoimi posiadłościami razem z Kamińskimi. Ona ma nogi przestrelone. Nogę jedną, czy... Na kolanach, widziałam, kolano było czerwone. Więc jest tylko w kolana przestrelona. Też jeszcze żyje i umiera, nie może umrzeć. Wróciłam do mamusi, mówię: „Mamusiu, tam leży nasza sąsiadka, a tu Sawicka leży z tymi dziewczynkami”. No i poszliśmy znów w głąb tego lasu. Poszliśmy w głąb tego lasu, druga noc. Druga noc na tych gałęziach. Znów nazbieraliśmy gałęzi. Usiedliśmy w trójkę, skuliły się, żeby przesiedzieć tych parę godzin do rana. I siostra jak już tak ciemno było, zaczęła tak do tatusia, prosić tatusia, znaczy zabitego tego ojca, zaczęła modlić się i prosić, mówi: „Tatusiu, byłeś takim dobrym ojcem. Tak zawsze nam w życiu radziłeś dobrze. Poradź nam, pomóż nam wyjść z tego lasu, bo my tu albo zwierzęta nas dzikie rozszarpią, albo głodową śmiercią zginiemy, bo my nie wyjdziemy z tego lasu”. I proszę pana, tylko świt się zrobił, już tylko zaczęło szarzeć, to siostra szarpie mnie, bo jednak człowiek znużył się, przysnął, i mamusię, mówi: „Wstawajmy, tatuś był u mnie. Pokazał drogę, jak mamy wyjść z tego lasu”. Proszę pana, siostra do śmierci twierdziła, że ona widziała ojca, że był ojciec. Ja to tak zawsze mówiłam: „Ziutko, tobie się śniło”, a ona mówi: „Słuchaj, tatuś był, stał przy nas. Tatuś był przy nas. I dał trzy wskazówki. Jak wstaniecie, słońeczko zaświeci, to pamiętajcie, tam idźcie na prawo. Na lewo byłby wschód słońca, a na prawo idźcie. Dojdziecie do polany, gdzie będzie polanka w lesie. I będzie na tej polanie jedna, jedyna sosna. Bardzo wysoka. I tylko u góry ma taki pióropusz z gałęzi”. Goła cała, bo sosny przeważnie są takie gołe, tylko u góry gałęzie. „To będzie pierwszy znak. Mińcie tę polankę i dalej idźcie prosto. Zobaczycie po prawej stronie tory kolejowe. To są tory już nieużywane, zarzewiały, ale nie idźcie torami, bo was będzie bardzo widać na torach, bo tory, to nie ma drzew, tylko idźcie lasem, ale żebyście wciąż mieli na oku tory, żeby te tory prowadziły was. I jak będziecie znów szli kawałek tymi torami, obok torów, to zobaczycie, po prawej stronie znów będzie dół. To jest takie leśne jezioro. W tej chwili będzie zasypane śniegiem, ale taki duży będzie dół, to wiadomo, że to jest takie oczko leśne. Miniecie to oczko i wyjdziecie na drogę, która będzie prowadziła do Cumania”. I proszę pana, tak jest. Idziemy, jest sosna. Jedna na polanie goła sosna. Minęliśmy ją, tory kolejowe. Tak, zarzewiały, nieużywane tory kolejowe. Dalej dół jest, to oczko wodne. I mamusia... Ale jesteśmy jeszcze w lesie. Mamusia nam padła, zemdląta, koniec. Mamusia nie ma siły już dalej iść. Patrzymy, z ziemi dym taki. Ziemiłka, czyli w ziemi jest wykopana ziemiłka, a to kiedyś smolarze, którzy ściągali tę smołę z drzew, to w zimę się ściągają, to zimą mieszkali, robili sobie w ziemi takie ziemianki i tam mieszkali przez zimę, i tę smołę ściągali, bo to była smoła bardzo, kalafonia chyba nazywała się ta ciągana, co te sosny wydawały tę smołę, bardzo wartościowa była. Widocznie tam ci smolarze są. I siostra mówi: „Trudno, mamusia zemdląta. Idę, nie wiem, czy tam Polacy są czy Ukraińcy. Idę, może dadzą coś, może dadzą kawałek chleba, żeby tej matce dać, może pić coś dadzą”. Przychodzi, to jak popatrzyła, tam kobieta była, Ukrainka. A on w lesie, ten gospodarz zajmuje się, znaczy, ten smolarz smołą, a ona tam gotuje w tej ziemiance, tam już mają urządzone sobie to. I mówi: „Ja sama też, my biedni tacy jesteśmy, biedni, ale dam wam kawałek chleba, żebyście matce dali.

I mleka dam, bo mam kozę, nie krowę, ale kozę tu mam. I ta koza mleczko daje. Dajcie matce tego mleka troszkę popić, żeby ją jakoś ocucić, doprowadzić do...". I dała troszeczkę tego mleka, i kawałek chleba, i mówi do siostry: „Tam jeszcze będzie taka jednak ziemianka, ale tam nie zachodźcie, tam niedobre ludzie są. Tam już nie idźcie”. No i przyniosła siostra to te, mamusię ocuciliśmy, wypita tego mleczka, takie nawet ciepłe to było mleczko, bo ta już za-grzała, żeby było ciepłe, zjadła tego, my już z siostrą nie jadłyśmy tego chlebka, tylko mamusia, żeby zjadła. Zjadła tego chlebka i mamusię pod rękę, ja i siostra, i prowadzimy mamusię. Mówi: „Już macie niedaleko do Cumania, już wam ze dwa kilometry zostały do Cumania”. I potem już wyszliśmy na taką drogę już bitą, brukowaną. Kiedyś asfaltów nie było. Albo bruk był, albo taka bita jakaś, nie wiem, z czym ta ziemia się ubijała, że tego pan nie ruszył, w sensie, żeby to, wie pan, ruszyć. To było ubite. To był tak zwany bity trakt. Ale już weszliśmy na brukowaną taką, czyli już jesteśmy prawie w Cumanii. I tak jak dochodzimy, już aha, zamajaczyły nam budynki i z brzegu od razu pierwszy kościółek, tak był na pobrzeżu tego Cumania kościółek. Mały taki kościółek. I tak wleczeni się, tę mamę prowadzimy, wleczeni się. I dochodzimy do tego kościółka, a rodzice moi bardzo byli znani w okolicy naszej, bo tatuś był w gminie radnym, to wiadomo, zawsze to już więcej był taki znany do ludzi, więc znali bardzo rodziców. Więc przed tym kościołem pełno tych ludzi. Ci ludzie z Pendyk. Ale poznali mamusię, bo ja tam dziecko, to mnie tam nikt nie znał, ale poznali mamusię. I krzyczą: „Pani Sewrukowa z córkami idzie”. A w kościele msza się odprawiała. A mój brat jest w kościele, ten Staszek, i mówi, za was już msza się odprawia, za wasze dusze, bo już jest dwa dni po napadzie, nie ma, to znaczy, już matka i siostry zabite są. Wskoczył ten, co nas rozpoznał, wskoczył do kościoła i na cały krzyczy głośno: „Staszek, twoja rodzina przyszła!”. Więc witaliśmy się tak jak byśmy z martwych powstałi. I tak połączyliśmy się już z bratem, i to już był cały nasz komplet. Brat, siostra, ja i mamusia. A ojciec i brat zginęli na Wołyniu. Na Jamińcu. Tam nie zagrześliśmy dużo miejsca w tym Cumanii. Niemcy nas tam rozmieścili w jakichś takich barakach, już nie pamiętam, co to było. Jakieś baraki takie. Byliśmy tam dwa czy trzy dni, jak nas już spędzili. Już wszyscy się tam zebrali. To proszę pana, nas tak jak nie raz na filmach pokazywane jest, pędzili nas pieszo do łucka, a do łucka było, proszę pana, trzydzieści parę kilometrów. To było nasze miasto wojewódzkie, Łuck. I tak, kto miał konia, to kto uciekł z końmi, z wozem, to jechał sobie na wozie i tę rodzinę tam wiozł. A my uciekliśmy, bo na nas napadli, to my uciekliśmy już bez niczego. Już nic nie mieliśmy. Więc pieszo trzeba iść, ale tak jak już zaznaczyłam wcześniej, kuzyni moi, czyli ten Piotr i Zygmunt Sewrukowie, stryjka synowie, oni mieli dwa wozy. I stryjenka była dobrą kobietą, i mówi do tego swego syna: „Słuchaj, na jeden wóz stryjenkę weźcie”, czyli moją mamusię, a na drugi wóz mnie, bo ja mam 12 lat, tylko dziecko jeszcze. A już Staszek i Ziułka to już dorośli, oni już będą szli. I tak że ja już jechałam na wozie u jednego kuzyna, mamusia u drugiego. I ta stryjenka mówi do tego swego syna, nieżonatego, bo jeden był żonaty już, Piotr, mówi: „Zygmunt, zejdź trochę. Trochę ty pójdziesz. Niech Staszek wsiądzie. Przecież on już ma buty zerwane, bosymi stopami po tym śniegu idzie, a po drugie przecież tak jak pokazują w filmach, po boku jadą Niemcy na motocyklach, na koniach, z bronią i kto upadł, tego nikt nie podnosi, tylko strzał i koniec. Jak już upadłeś, to koniec już. Mówi: „Zejdź, Zygmunt, ty trochę pójdz, niech Staszek pojedzie, bo jak on upadnie, to już go dobiją, już go nikt nie uratuje”. I rzeczywiście ten kuzyn zszedł z tego wozu, to trochę brat mój parę kilometrów podjechał i potem znów, jak to się mówi, zmienił się, trochę podszedł, potem znów trochę zmienił się i tak nas przypędzili do łucka.